Nr. 16 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 16 sierpnia 1931 | Rok 53

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

TREŚĆ NUMERU 16:

Nr. 16 We Lwowie, 16 sierpnia 1931 Rok 53



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

XXX ZJAZD ŁOWIECKI

ODBĘDZIE SIĘ W DNIU 12 WRZEŚNIA 1931 R. WE LWOWIE

MSZA ŚW. przed ołtarzem św. Huberta w kościele św. Elżbiety odprawioną zostanie o godz. 9.

WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW M. T. Ł.

odbędzie się o godzinie 10 w sali Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego przy ul. Kopernika 4 (I piątro).

MIĘDZYNARODOWE ZAWODY STRZELECKIE WE LWOWIE

ODBĘDĄ SIĘ W DNIACH 23 SIERPNIA — 6 WRZEŚNIA.

Training do strzelań myśliwskich rozpoczyna się 17 sierpnia i trwa do 23 września.

Zapisywać się mogą członkowie nasi do trainingu i Zawodów w biurze M. T. Ł. gdzie zasięgnąć mogą wszelkich informacyj.

Rozegrane będzie mistrzostwo Świata i Europy.

Do naszych członków i delegatów, szczególnie tych, którzy mieszkają we Lwowie lub dysponują łatwym do Lwowa dojazdem, zwracamy się raz jeszcze z usilnym apelem, aby przed 23 sierpnia, zechcieli zgłaszać się w biurze M. T. Ł. celem wpisania się i pomnożenia grona sędziów dla strzelań myśliwskich na Międzynarodowych Zawodach strzeleckich.

Wzywamy o to nie tylko w imię karności myśliwskiej, lecz także w imię prostego koleżeństwa, szczupła bowiem garstka myśliwych, która funkcje sędziów już objęła, byłaby zbyt dotkliwie absurbowaną, gdyby nasze kadry nie miały się pomnożyć dalszemi osobami chętnemi do pracy w sprawie, w której jest zaangażowaną powaga Towarzystwa.

BOGUMIŁ MAGDZIŃSKI

Odżywianie zwierzyny w porze zimowej

„Pańskie oko konia tuczy" — powiada znane staropolskie przysłowie. Ma ono zastosowanie w całej rozciągłości również i co do zwierzostanu.

W dzisiejszych warunkach, w ograniczonej strefie stałych siedzib zwierzyny, zwierzostan pozostawiony w porze zimowej własnemu losowi, przedstawia bardzo często godny pożałowania widok, będący oskarżeniem tego, kto za należytą opiekę nad zwierzostanem jest odpowiedzialny.

Stąd też, aby uniknąć poważnych strat, należy w porze zimowej roztoczyć nad zwierzyną jak najtroskliwszą opiekę, szczególnie zaś dbać o jej prawidłowe odżywianie, co jest kardynalną zasadą w gospodarce zwierzostanem w porze zimowej.

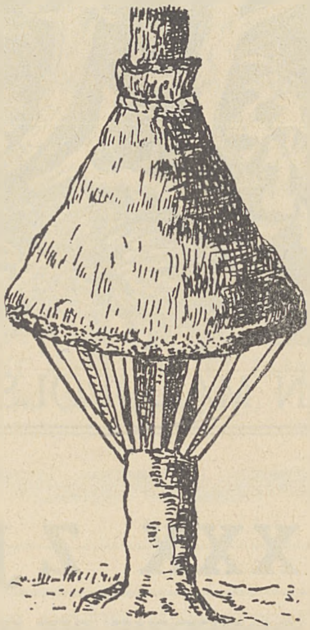
Mówiąc o odżywianiu w zimie, należy mieć również na uwadze dopasanie w ciągu jesieni, mając na celu uodpornienie zwierzyny, a tem samem przysposobienie jej na różne niespodzianki zimowe.

Dokarmianie zwierzyny w porze zimowej jest pewnego rodzaju umiejętnością, której brak powoduje często wielkie straty, czy to przez zmarnowanie paszy, którą nieodpowiednio podano, czy też z powodu szkód w zwierzostanie, powstałych wskutek chorób i wycieńczenia zwierzyny, która z biegiem czasu ginie.

Poza powyżej wymienionym celem — dopasanie przed nadejściem zimy ma jeszcze jeden ważny cel, mianowicie ten, że zwierzyna zapoznaje się i przyzwyczaja do miejsca, gdzie zamierza się paszę dla niej stale pozostawiać.

Wszelkie potrzebne zapasy zaleca się przygotować przed nadejściem zimy. Paśniki należy zakładać bezwzględnie w miejscach spokojnych, zasłoniętych od wiatrów, a przedewszystkiem w drzewostanach starszych.

W górach wybiera się takie miejsca na stokach południowych, w pobliżu zagajeń, które tworzą doskonałą ochronę przed wiatrami i zimnem, oraz zdala od głównych traktów. Nie zaleca się zakładać miejsc paszenia w zagajeniach, ponieważ śnieg w nich długo leży i często lodowacieje. Pozatem należy uważać, aby w pobliżu miejsca paszenia znajdowała się o ile możności woda płynąca. Gdy podczas silnych mrozów woda zamarznie, należy lód odrąbać, gdyż błędne jest mniemanie, jakoby zwierzyna zimą wody nie potrzebowała. Ostatniej ostrej zimy mieliśmy tego liczne dowody, mianowicie przy sekcji zwierzyny padłej znajdowano w przewodzie pokarmowym paszę zbitą na twardą masę, co jest najoczywistszym dowodem braku wody. Ziarno zbożowe, jak i siano, jest pokarmem bardzo suchym i wymaga dużego dodatku wody, pomimo, że równocześnie podaje się zwierzynie buraki, ziemniaki, bulwy (topinambur) i t. d., które zawierają więcej soków, lecz zawsze w ilości niewystarczającej. Stąd widzimy, jak przy miejscach paszenia konieczna i pożyteczna jest obecność dobrych wodopojów, o ile możności nie stojących, gdyż woda stojąca szybko się psuje i jest rozsadnikiem różnych pasorzytów, a tem samem i chorób. Wiktor Stephan podaje w swej książce „Sarna" (Warszawa 1903), sposób dla utrzymania wody niezamarzającej podczas zimy. Wykopuje się dół na 1½ m szeroki i 2 d o2½ m długi i do 2 m głęboki. Do dołu tego nakłada się warstwami naprzemian mierzwy końskiej i liści, a ubiwszy silnie, należy przykryć czemkolwiek, aż się zagrzeje, o czem można się przekonać sondując kijem. Do tego dołu wpuszcza się do głębokości ¾ szczelnie zrobioną skrzynkę wystającą nad ziemię 3—4 cale; wystające brzegi okłada się ziemią i ściółką. Woda w tak przygotowanej skrzyni nie zamarza w ciągu kilku tygodni.



Paszę wartościowszą wydziela się z początku zasadniczo w mniejszej ilości. Dopiero po przekonaniu się o chętnem przyjmowaniu paszy przez zwierzynę, powiększa się porcje. Z zasady powinno się uważać, ażeby zbyt wielkiej ilości paszy nie wykładać, gdyż psuje się, a wówczas jest szkodliwa. Należy również uważać na porę dnia składania paszy. Zwierzyna schodzi się do paśników dopiero o zmierzchu, to też najlepiej jest składać paszę popołudniu, choćby i z tego względu, że podawane kartofle, buraki i t. p. marzną bardzo szybko i wówczas trudno je spożyć. W czasie silniejszych mrozów nie należy paść zwierzyny okopowiznami. Zreguły paszę należy podawać w mniejszej ilości, ale zato codziennie. Paszę przeznaczoną dla zwierzyny należy umieszczać zawsze w tem samem miejscu. Aby umożliwić dostęp do tych miejsc wszelkiej zwierzynie a przedewszystkiem sztukom słabszym i chorym, odpędzanym przez zwierzynę zdrową i silną, nie starczy jedno miejsce wyznaczone na paszenie. Trzeba ich wyznaczyć kilka i to w różnych stronach rewiru. Miejsca te należy utrzymywać w czystości. Prócz podawania paszy na wyznaczonych miejscach, zakłada się w rozłogi drzew lub

między dwa drzewa tuż przy sobie stojące wiązki siana, niemłócone snopki owsa, wysuszone łodygi i liście bulwy (topinambur) i słonecznika (Helianthus). Drzewa takie muszą mieć bezwzględnie dużą koronę, ażeby ochroniły pożywienie przed śniegiem i muszą stać w pobliżu przesmyków, któremi zwierzyna chętnie chodzi. Buraki, kasztany, żołędzie i t. d., można rozkładać na starych drogach i linjach; jeżeli leży wysoki śnieg, należy go bezwzględnie usunąć zapomocą pługa drewnianego, przeznaczonego dla tych celów. Pługa takiego należy używać przedewszystkiem w rewirach, gdzie rośnie wrzos (Calluna vulgaris), borówka czernica, zwana mylnie czarną jagodą (Vaccinium myrtillus) i borówka brusznica (Vaccinium vitis idaea). Rośliny te zwierzyna zjada podczas zimy bardzo chętnie i dlatego należy koniecznie odsłaniać je zapomocą pługa, którego konstrukcja jest bardzo prymitywna i łatwo samemu go zbudować. Do podawania koniczyny, saradeli, siana i t. p., trzeba koniecznie przygotować urządzenia, gwarantujące podtrzymanie suchości. W tym celu urządza się w rewirach, gdzie przebywają daniele, jelenie i sarny, drabinki czyli jarzma*), których wysokość należy dostosować ściśle do wysokości zwierzyny. Oprócz tych drabinek powinno się zakładać większą ilość drabinek okrągłych, jak wskazuje rycina. Aby i cielaki miały dostęp do drabinek, radzi Dr. Max Neumeister urządzenie t. zw. cielętnika. Cielętnik jest to miejsce okrągłe wielkości około 30 metrów kw., ogrodzone mocnemi palikami, których odległość jednego od drugiego wynosi mniejwięcej 20 — 30 cm; dzięki temu do środka dostają się tylko cielaki i mogą bez przeszkód ze strony starszej zwierzyny, spożywać przygotowaną dla nich paszę. Wysokość palików wynosi 2 m; dla ich wzmocnienia łączy się je poprzecznemi łatami. W środku cielętnika umieszcza się odpowiednie jarzma, gdzie składa się paszę.

Przy drabinkach podłużnych można umieścić żłóbki dla paszy ziarnistej; żłóbki umieszcza się pod drabinką. Umieszczanie żłóbków przy drabinkach jest wielce niepraktyczne dla jeleni, które wyjadając ziarno ze żłoba, zaplątują się rogami w drabkach. Dlatego też dla jeleni zakłada się żłóbki przy drzewie, w ten sposób, że żłóbek długości 80 cm, szerokości 25 cm i głębokości 15 cm podpiera się jednym lub dwoma słupkami na wysokości jednego metra. Górny brzeg żłóbka należy obić blachą, ponieważ jelenie często go obgryzają, czemu blacha skutecznie zapobiega. Na kilka paśników starczy w zupełności urządzenie jednego cielętnika.

Paszę dla z a j ę c y można umieszczać bezpośrednio na ziemi, lecz trzeba wybierać miejsca ochronione przed zawiejami śnieżnemi. Gdy się posiada tylko leśne polowanie na zające, wówczas należy je odżywiać przedewszystkiem podczas śnieżnej zimy obficie, gdyż w innym wypadku opuszczają rewiry leśne i przenoszą się na sąsiednie pola. Również i tutaj potrzebny jest pług, ażeby oczyścić stare drogi i linje w odległości kilkuset metrów od granicy, gdzie składa się dla nich paszę. Na odśnieżonych drogach składa się dla zajęcy po dwie, najwięcej trzy sztuki buraków, bulwy lub kapusty.

Paśniki dla k u r o p a t w urządza się na polu. Jak tylko spadnie pierwszy śnieg, należy rozpocząć regularne karmienie kuropatw, które powinno trwać aż do wiosny. Paszę sypie się pod gałązki świerku, które utyka się w formie koła w ziemi, związując razem u góry, lub też pod kupki z gałązek cierni rozrzuconych luźno i nieregularnie.

Paszenie b a ż a n t ó w należy rozpocząć jeszcze wcześniej niż kuropatw, mianowicie już w początku października i kontynuować je do zginięcia śniegu lub też do czasu, kiedy bażanty przestaną przyjmować podawany im pokarm. Bażantom podaje się paszę w specjalnych urządzeniach, i tak: na niskich słupkach umieszcza się daszek o płaszczyźnie 4 do 6 metrów kw., pokryty trzciną lub gałęziami drzew iglastych pochylony nieco przeciw kierunkowi wiatrów. Ziemię pod daszkiem wzrusza się cokolwiek i pokrywa warstwą plew, na którą sypie się paszę. Paszę należy podawać wieczorem lub rano, jeszcze przed zlotem bażantów z drzew na ziemię.

Ażeby zaoszczędzić sobie codziennej pracy zwożenia paszy, urządza się w jesieni w pobliżu paśników, jak i miejsc paszenia k o p c e, w których przechowuje się potrzebne do paszenia ziemniaki, buraki, marchew, topinambur i t. p. Kopiec trzeba pokryć grubo chrustem dla ochrony przed zwierzyną, ponieważ zdarza się często, że zwierzyna go uszkodzi lub też rozkopie. Dzięki kopcom można podawać codzień zwierzynie paszę wilgotną i dobrą. W razie wcześniejszego wyczerpania bulw, jak i korzeni, należy je zastąpić również wilgotną paszą, jak np. kapustą, lub rzepakiem zimowym. Ziemniaki kiełkujące, jako pasze, są bardzo niezdrowe, gdyż zawierają substancje trujące.

S i a n o używane na paszę dla zwierzyny musi być dobrze wysuszone. Należy przytem pamiętać, że sarny przyjmują siano tylko ze słodkich traw, to też jeżeli o takie siano trudno, lepiej zrezygnować z paszenia zwierzyny sianem. Bardzo użyteczną paszą jest siano z seradeli, łubin jak i siano z mieszaniny jarego żyta i wyki. Godne polecenia jest siano z liści i to najlepiej z liści zbieranych w czerwcu, a najpóźniej w lipcu, gdyż w tych miesiącach soki krążą w liściach najsilniej i zawierają wówczas największą ilość substancyj odżywczych. Na paszę z liści najlepiej nadaje się topola, dąb, wierzba, klon i malina. Dla uzyskania takiego siana odcina się trzy lub czteroletnie gałązki z liśćmi, wiąże się je w niewielkie pęczki i suszy w cieniu.

S ł o m a niemłóconego owsa w snopkach jest doskonałą paszą tak dla jeleniowatych jak i dla zajęcy. Suszone łodygi bulwy (Topinambur) lub słonecznika (Helianthus) razem z liśćmi są również wartościową paszą dla zwierzyny.

Pozatem g a ł ą z k i d r z e w, a przedewszystkiem drzew miękkich jak i drzew owocowych, dają nietylko

* Nazwane w Wielkopolsce paśniki.

zwierzynie grubszej, ale i zającom i królikom, nadzwyczajną paszę zimową; zwierzyna zwykle odziera z gałązek tych korę, spożywając ją i trawiąc doskonale. Nie należy zatem zapominać przedewszystkiem dla zajęcy o tym pożytecznym rodzaju paszy.

Owoce kasztana, żołędzi i jarzębiny są bardzo wartościową paszą dla wszelkiej zwierzyny jeleniowatej. Kasztany podaje się albo w całości, odłączając tylko skórkę, lub też, co zaleca się przy podawaniu kasztanów sarnom, wysuszone w piecu chlebowym, posiekane i w wodzie wyługowane. Również i suszona jarzębina jest prawdziwym przysmakiem dla zwierzyny. Owoce dzikiej gruszki i jabłoni, jadają bardzo chętnie dziki, jelenie, sarny, zające a także bażanty i cietrzewie. Owoce tych drzew zostawia się na drzewach, spadają one powoli same i zostają z łatwością znajdywane przez zwierzynę. Chcąc owoce te zakonserwować, należy je wpierw wysuszyć, lecz bezpośrednio przed podaniem zwierzynie powinno się je zmiękczyć. Owoce jeżyny i malin stanowią doskonałe pożywienie nietylko dla sarn i zajęcy, ale i dla ptactwa. Znów młode ich gałązki z liśćmi, suszone w cieniu i wiązane w pęczki, dają podczas zimy zdrową paszę specjalnie sarnom. Należy jednak pamiętać, że równocześnie powinno się zwierzynie podawać różne gatunki paszy, gdyż jeden nie wystarczy. Większa ilość krzewów jeżyn daje doskonałe schronienie zającom i ptactwu.

(C. d. n.)



INŻ. ANTONI KORASIEWICZ

Czy pies myśli?

(Dokończenie)

Epizod, który przytoczę, stanowi chyba niezbity dowód, że pies i myśli i kombinuje.

Szedłem krajem jeziora zarośniętego przy brzegu szuwarami i Fryc szukał blisko przy nodze krajem.

Zerwała się para krzyżówek i po strzałach padły obydwie, — kaczor tuż przy brzegu w szuwar, zaś kaczka nieco na lewo do wody. Przyniósł oczywiście najpierw kaczora, który zupełnie martwy leżał prawie że na suchem. Daję rozkaz „przynieś drugą", lecz niestety równocześnie spostrzegłem, że kaczki na wodzie niema; pozostawiła tylko nieco pierza i dużo farby, którą do słońca w czystej wodzie było widać. Pies dopłynąwszy do miejsca, gdzie kaczka podła, opłynął wkoło i i jeszcze widocznie dla upewnienia się, że się nie myli, pochleptał nieco wody z farbą i nagle coś się z psem zaczęło dziać niezwykłego. Widać mu tylko wierzch głowy po oczy, tułów zaś cały pionowo w dole we wodzie, przyczem obraca się wkoło tak, jakby się tylnemi nogami w coś zaplątał. W pierwszej chwili byłem w mniemaniu, że się pies złapał w łapkę zastawioną na wydry lub coś podobnego. Wnet jednak gwałtownym ruchem rzucił się cały pod wodę i wypłynął zaraz na wierzch z żywą jeszcze kaczką w pysku. „Dałeś nurka" pomyślał, „ja cię tu zaraz znajdę"; tylnemi nogami ją namacawszy, zanurzył się potem, aby ją wyciągnąć. — No, takiej sztuczki bezwarunkowo psa nauczyć nie można i aby coś podobnego wykonać, trzeba chyba pomyśleć.

Miałem sukę seterkę, która mi raz również z pod powierzchni wody kaczkę wydobyła, ale uważałem to wówczas za coś zwykłego, gdyż to było płytkie bagno, mogła więc nawet i zwietrzyć, lecz w opisanym wyżej wypadku było dość głęboko, bo na całą długość psa. Mistrzem był też w chwytaniu podlotów. Jednego sezonu chwycił 16 zupełnie wyrośniętych podlotów krzyżówek, kilka mi z nich uciekło z wózka, udając początkowo silne poturbowanie; 5 sztuk chowałem potem w kojcu drucianym obszernym, z którego pouciekały dziurą wyrytą spodem przez świnkę. Ciekawem było to, że były to same kaczorki, a więc najlepszy to dowód, jak silna jest zawsze przewaga płci brzydkiej u ptactwa.

Komiczną scenę przy tem chwytaniu podlotów obserwowałem nieraz; po dłuższem pływaniu i gonitwie w szuwarach schwyciwszy podlota, wyłazil z nim Fryc na suchy brzeg i chcąc wytrzepać wodę z uszu, kładł przed sobą jeńca na ziemi w przypuszczeniu widocznie, że ten się nie ruszy. Tymczasem podlot, poczuwszy swobodę, ruchem błyskawicznym był napowrót w wodzie. Trzeba było wówczas widzieć głupią minę Fryca, gdy chcąc podjąć napowrót kaczkę, niemiał jej przed sobą; — powtarzała się scena z chwytaniem, gdyż nigdy za wygraną nie dawał.

O ile miałem szczęście w mej praktyce łowieckiej w spotykaniu dobrych psich materjałów, o tyle miałem tak zwany pech w traceniu dobrych psów.

Z końcem listopada jadąc do budowy na Dniestrze, wziąłem ze sobą Fryca, aby się nie wałęsał po mieście podczas mej nieobecności, zwłaszcza, że i żona mię do tego namówiła, gdyż jej ani nikogo zresztą nie słuchał, a nawet bez ceremonji wyłaził zbłocony, wróciwszy ze spaceru, na łóżko, czego w obecności mojej nigdy nie robił. Pędzony przez żonę, pokazywał zęby i leżał dalej; usłyszawszy mię wchodzącego, zeskakiwał momentalnie i krył się pod łóżkiem.

Wziąłem go tedy ze sobą na wózek, jakkolwiek nie był mi potrzebny. Podczas mych czynności z budową związanych pies biegał sobie w pobliżu między składem faszyn i palików. Nagle przybiegł do mnie i usiadł z miną, jakgdyby coś złego zrobił, popatrzył na mnie jakimś błagalnym wzrokiem, rzucił się na ziemię, cicho zaskomlał, wyciągnął się i skończył.

Oczywiście, że tylko strychnina w ten sposób działa.

W ciągu doby poprzedniej spadł pierwszy śnieg i ktoś rzucił gałki strychninowe na lisa, a ponieważ w nocy przyszedł niespodziewanie ciepły wiatr i śnieg stajał, jak to zwykle z listopadowym śniegiem bywa, no i gałki pozostały niepozbierane na terenie.

Może i dobrze się stało, bo w rok później byłby się dostał w ręce moskali, tak jak jego następca 9-cio miesięczny gordon-seter, którego zaraz na wiosnę w pamiętnym 1914 r. kupiłem.

Na pamiątkę tego dzielnego towarzysza mych wycieczek myśliwskich nazywam już drugiego psa mego legawego — Frycem. Niestety żaden z jego następców nie godzien był tego nazwiska, bo pierwszy bał się szuwarów i wogóle do wodnej służby się nie nadawał, albo jak obecny odziedziczył po matce pointerce wszelkie przymioty pointera, a także i głupotę tej rasie psów przypisywaną. Mimo tego nawet tym osobnikom psim nie można odmówić do pewnego stopnia zdolności myślenia. A że tak jest, niech posłużą następujące przykłady.

Polowałem raz na długiem a wąskiem jeziorku na kaczki z pierwszym rasy niewyraźnej, a hodowanej przez pana B.; był maści srokatej, czarny z białem i niedużego wzrostu, zatem więcej miał pointera własności, aniżeli niemca. Wystawił przy brzegu, którym szedłem, podlota krzyżówkę, który zerwawszy się ponad szuwarem w stronę przeciwległego brzegu, padł rażony strzałem bliżej tegoż. Na rozkaz poszedł pies przez niegłęboką wodę, zarośniętą szuwarami a znalazłszy strzelonego ptaka, wyniósł na brzeg przeciwny, do którego mu było bliżej. Obrócił się następnie do mnie i jakby pytał, ca ma teraz zrobić, gdyż nie ufając swoim siłom, bał się widocznie na powrót tą samą drogą t. j. przez szuwary i wodę wracać z ciężarem. Zrobiłem ręką giest, zataczając niejako półkole w stronę końca jeziorka. Zaraz to zrozumiał i pobiegł naokoło kilkaset kroków w galopie suchą drogą do mnie. Był to piesek bardzo posłuszny i łagodnego usposobienia i na suchem polu znakomity; do wody jednak miał wstręt i niejednokrotnie w trudniejszych warunkach wolał uciec do opodal stojącego wózka z końmi, aniżeli wynieść ze szuwarów strzeloną kaczkę. Zginął wskutek postrzału kulą rewolwerową zapewne przez jakiegoś dowcipnego żołnierza „armji sprzymierzonej", gdyż było to jeszcze w czasie końca wojny światowej.

Pies, którego obecnie posiadam, jest maści hreszkowatej po matce pointerce, a ojcu nowoniemcu.

Wobec braku prawie zupełnego w tej okolicy obecnie kuropatw po ciężkiej zimie, z konieczności wyspecjalizował się w polowaniu na kaczki. Polujący ze mną pan R. strzelił na jeziorze czaplę bąka; pies poszedł w tej chwili podjąć go, lecz dopłynąwszy na parę kroków zauważył, że bąk żyje i nastawia groźnie niebezpieczny swój dziób. Wrócił więc na brzeg i jakby czekał na dostrzelenie ptaka. Pan R. strzelił poraz wtóry, lecz prawdopodobnie śruty nie zaczepiły w wodzie zanużonego prawie całkiem ptaka. Po strzale pies znowu skoczył do wody, lecz zobaczywszy, że ptak dalej żyje, wrócił na brzeg. Po następnym strzale ptak położył głowę i pies popłynął poraz trzeci ku niemu, lecz nie zbliżając się, opłynął go dokoła a sprawdziwszy, że ma do czynienia już z nieboszczykiem, wziął go dopiero wówczas w pysk i przyniósł. Tu dowiódł pies nietylko, że umie myśleć, lecz także, że ma dobrą pamięć. Przed dwoma laty bowiem dziobnął go w czasie aportowania w oko postrzelony mały czapla-bąk, na szczęście nieszkodliwie. Jak wiadomo, ptaki te bronią się w ten sposób, że wymierzają zawsze cios ostrym swym długim dziobem tylko w oczy wrogowi, i z tego powodu są dla psa legawego bardzo niebezpieczne.

Godnem jest wzmianki zachowanie się tego psa na ciągu kaczek. Doskonale zna ten sposób polowania i z chwilą, gdy stanę na miejscu, siada przy mnie i z nadzwyczajną pilnością bada horyzont ze wszystkich stron. Kaczkę usłyszy, czy też zobaczy prędzej częstokroć odemnie.

Zaraz w początkach swej karjery łowieckiej oślepł na lewe oko z powodu złego leczenia przez weterynarza po ukłuciu się w krzakach zeschłą trawą prawdopodobnie — a mimo tego jednem okiem widzi bardzo daleko. Po strzale do ciągnącej kaczki obserwuje ją pilnie i gdy spada, w tej chwili w tym kierunku biegnie i momentalnie znachodzi. Raz przyniósł mi już o dobrym zmroku kaczkę słabo strzeloną, która od miejsca strzału ślizgowym lotem spadła około pół kilometra na pastwisku. Po strzale chybionym nieruszy się nawet z miejsca.

Przy tej sposobności nie mogę pominąć kwestji, czy do polowania lepiej nadaje się pies czy też suka; obijało mi się bowiem niejednokrotnie o uszy od początku karjery łowieckiej zdanie wypowiadane przez starych myśliwych, że zawsze suka jest lepszą do polowania. Otóż z doświadczenia muszę zaprzeczyć temu. Być może, że to twierdzenie odnieść da się do innych psów myśliwskich, a więc gończych, chartów, jamników

i t. d., ale nigdy do legawych. Miałem kilka suk w mej praktyce łowieckiej i to różnych ras, bo seterkę, dwa dwa razy pointerkę i nowoniemkę — i wszystkie co do zachowania się były jednakowe. Nigdy nie mogłem być pewnym, że rozkaz wykona tak jak pies; zależało wiele zawsze, jak zwykle u płci pięknej, od kaprysu, od nastroju i tak jak u koni po największej części klacze są narowiste, tak u psów, które są podobnie nerwowe stworzenia, suki są zawsze histeryczki. Miałem suczkę seterkę maści białej; śliczne to było stworzenie z czarnym noskiem i czarną oprawą oczek; nos miała jak pointer i ślicznie wystawiała na suchem, szczególnie kuropatwy, a w wodzie jak wydra cały dzień potrafiła niezmordowanie chodzić. Aportowała doskonale na suchem i z wody, a jednak czasem przy jakimś ataku histerycznym odmawiała wszelkiej usługi. Strzelił raz towarzyszący mi strzelec majątku w Z. nad stawami z hodowlą karpi kaczkę ciągnącą wysoko, która spadła daleko ogromnym łukiem na środek największego stawu o kilkaset kroków od grobli. Nie chcąc się zatrzymywać nad próbą dostania jej, polowałem dalej do obiadu. Po obiedzie w towarzystwie strzelca i suki poszedłem na groblę stawu, gdzie rano padła kaczka, aby spróbować, czy Djanka (tak się bowiem wabiła seterka) jej nie przyniesie. Przyszedłszy prosto kaczki, dałem rozkaz: „Djanka, siadaj" — a zwróciwszy jej mordeczkę w stronę kaczki jedną ręką, drugą wskazałem kierunek ze słowami: „Djanka, aport" — Popatrzywszy, wskoczyła do wody i popłynęła dwieście do trzysta kroków po kaczkę i przyniosła ją. Dowiodła chyba tem, że rozumiała służbę i że aportowała dobrze.

Innym razem zrobiłem na małem bajorku wśród zarośli wiklinowych dubletę do krzyżówek; — na rozkaz poszła po bliżej strzelonego kaczora, wyniosła go sobie na małą kępkę kilka kroków od brzegu a usiadłszy przy nim skulona, na żadne prośby ani groźby nie reagowała. Odszedłem bajorko krzakami, aby z drugiej strony poszukać samemu drugiej sztuki, która padła prawie na suchem i wołam suką do siebie. Zamiast przyjść do mnie, uciekła bez kaczki na przeciwną stronę i schowała się w krzakach.

Czy nie jest to przykład nadto wymowny, że tylko jakiś histeryczny atak był tego przyczyną. — Kaczki obydwie przepadły.

Suka nowoniemka, matka owego nieodżałowanej pamięci Fryca, była istnym djabłem w psiej skórze. Jej różnych na ten temat figlów na wołowej skórzeby nie spisał.

A przytem ciąża i karmienie młodych, przynajmniej dwa razy do roku, jest ciągłą przeszkodą w użyciu suki do polowania, bo najczęściej wśród sezonu jest nie do dyspozycji. Dla myśliwych, szczególnie w mieście mieszkających i w dodatku w kamienicy, jest trzymanie psa wogóle wielce kłopotliwem, gdyż pies i myśliwy razem są nieszczęśliwi, a cóż dopiero, gdy suka się cieknąć zacznie.

Suki legawe są zatem tylko dla hodowców konieczne lub, kogo stać na to, to może trzymać parę t. j. sukę i psa dobrego gniazda; — wówczas pies trzymać się będzie więcej domu, co jest rzeczą bardzo ważną. Najczęściej bowiem pies legawy wskutek włóczęgostwa pada ofiarą albo wścieklizny albo pod różną postacią i formą trucizny, a co najmniej skaleczenia przez złośliwych ludzi lub inne psy. To też wychowując młodego psa, winno się zwracać uwagę na to, aby się poza obręb ogrodzenia mieszkania nie wydalał, a za przekroczenie ogrodzenia karcić i przyzwyczajać do tego, że wolno mu tylko przekroczyć ogrodzenie w towarzystwie jego pana.

To są moje spostrzeżenia wzięte z długiej, bo blisko pięćdziesięcioletniej praktyki hodowcy i tresera i miłośnika jednej z najpiękniejszych gałęzi łowiectwa, która niestety u nas w Małopolsce jest obecnie w zaniedbaniu. Poznańskie i Królestwo urządza popisy psów legawych i każdy prawie z myśliwych posiada dobrego psa legawego. Dlatego też i ptactwo łowne jest tam inaczej cenione i ma staraną opiekę.



JAROSŁAW HUBÁLEK *)

Pustelnik z pod Sokolej Skały

Autoryzowany przekład z czeskiego WŁ. KARNKOWSKIEGO

Daleki jestem od tworzenia wymyślonej opowieści. Bo i po co? Czyż nie dość prawdziwych zdarzeń w naturze, historji i romansów wesołych i smutnych, nie dość tragedyj i fraszek, jakichby nie potrafił wymyślić najbardziej utalentowany pisarz o wyobraźni Verne'go? Kto

* Imię Jarosława Hubálek'a zapisało się już chlubnie w przyrodniczo łowieckiej literaturze czeskiej. Jego prace pisane w sposób przystępny, barwny, interesujący i bardzo pouczający są wprost arcydziełami w swoim rodzaju i świadczą o wielkiem znawstwie i ukochaniu żywej przyrody. Cieszymy się bardzo, że dzięki znakomitym przekładom p. Karnkowskiego, możemy dzieła tego klasyka czeskiego przyswoić literaturze polskiej. Red.

ich nie widzi, ten ma chyba oczy zamknięte na bożą przyrodę, lub patrzy ze stanowiska czysto ludzkiego a w obcowaniu z tworami w jego pojęciu niższemi nie umie zapomnieć o swem ludzkiem „ja". Niechaj je stłumi w sobie, niech zrozumi, że zwierzę czuje, myśli, raduje się i cierpi taksamo, jak człowiek, a otworzą mu się oczy i ujrzy wiele zjawisk, których dotąd nie widział. I to będzie pierwszym krokiem do umiłowania wszech tworów przyrody bez różnic, czy to zoologicznych, czy botanicznych. Wtedy nie będzie potrzebował wymyślać fantastycznych historyj, wystarczy jedna przechadzka po lesie, czy polu i da obraz życia — zamiast płodu fantazji.

Z pustelnikiem z pod Sokolej skały spotykałem się osobiście nieraz, podpatrywałem przeróżne epizody jego życia i dlatego piszę jego wierną biografję. Jeśli chwilami rwać się będzie wątek opowiadania, lub sztucznie będę go nawiązywał — wybacz mi to — miły Czytelniku!

Mój pustelnik jest z natury mrukliwy, interwiewów nie udziela, poprzestać więc musiałem na tem tylko, co własnemi oczami mogłem podpatrzyć.

I.

Data urodzenia? Już na to pierwsze pytanie nie mogę odpowiedzieć. Matka jego, osoba strasznie nerwowa, ani gości nie znosiła, ani nie chlubiła się publicznie swem potomstwem. Pod korzeniami starego dębu urządziła wygodne mieszkanie dla siebie i dzieci, o to tylko dbając, aby żywa dusza o niem nie wiedziała. Stąd też pochodzi, że radosna chwila jej szczęścia macierzyńskiego pozostała tajemnicą nie tylko dla ludzi, lecz nawet dla mieszkańców puszczy.

Zima jeszcze była, gdy czworo borsucząt przyszło na świat — dwóch braci i dwie siostry, o czem sądzić można było po nieznacznej różnicy wielkości i budowy.

Spało to sobie po całych dniach, przytulone do ciepłej piersi matczynej a choć po lesie szalała śnieżyca i wicher kołysał stuletniemi drzewami, maleństwom — w kunsztownie opatrzonej norze nie dokuczał najmniejszy podmuch wiatru.

Borsuczyca jest przezorną, wzorową panią domu, to też w obszernym barłogu panowała nienaganna czystość. Chodniki codzienne i odwodowe były czyściutko zamiecione, ze stropu nie zwieszał się najmniejszy korzonek, wszędzie przestrzeni i powietrza pod dostatkiem. Przekrój chodników — prawie eliptyczny. Legowisko właściwe, dwa metry pod ziemią, tak przestronne, że długo jeszcze starczyć mogło dla całej rodziny, wysłane było miękką warstwą dębowych liści. Ile to jednak pracy kosztowało? Stokroć łatwiej wykopać nowy barłóg, niż stary wyczyścić i liści doń świeżych nagrabić i to niczem więcej prócz własnych pazurów. Robota szła wolno i tylko nocą. Borsuk jest odludkiem: nie ciekawy współobywateli leśnych, nie lubi też pokazywać się na oczy — wierny starej maksymie, że ostrożność jest matką mądrości.

W samotności rozmyślała borsuczyca nad losem dzieci. Kiedy przewidzą? Jak wyrosną? kiedy zaczną same myśleć o sobie? kiedy dorosną ojca? Tu przyszły jej na myśl krótkie dzieje jej miłości. W jasną, księżycową noc, idąc bez celu szumiącym borem, znalazła się na małej górskiej łące, skąd roztaczał się rozległy widok na dalekie północne szczyty, wiecznym śniegiem pokryte. Jakaś tęskna ciekawość ją opanowała. Co tam jest w tej niezmiernej dali? Czy żyją tam jej bracia i siostry? Jak wyglądają? Tęsknie wyciągnęła mądrą, klinowatą główkę ku północy, łowiąc chciwie lekkie podmuchy wiatru. Rozmarzona, wracała już do domu, gdy niespodzianie, pod wykrotem starego grabu ujrzała — jego. Zamruczała opryskliwie, on odpowiedział jej tym samym tonem. Wyszczerzyła zęby, on też. Lecz musiał domyśleć się jej płci, podszedł bowiem bliżej. Postanowiła go ignorować i zawróciła do domu. Szedł za nią wytrwale. Parę razy obróciła się z niechęcią w oczach, nic nie pomagało. Wreszcie pogodziła się z losem. Co miała robić? Życie ma swoje prawa. Uczucia, ani dowodów trwalszego przywiązania nie było z obu stron. Rozeszli się równie prędko, jak się poznali, resztę pokryła niepamięć.

Bo też cały rodzaj borsuczy jest jakiś dziwny. Maleństwa, ledwie pięć tygodni miały, już na siebie gniewnie mruczały. Ani śladu rodzinnej zgody, lub towarzyskości — przeciwnie — z każdym dniem większe sobkostwo i odosabnianie się od sióstr i braci.

Niezadługo wyprowadziła matka swą gromadkę z nory — nie dla higjeny bynajmniej. Po prostu — mleka brakowało — trzeba było myśleć o innem pożywieniu i zaprawiać dzieci do trudnej sztuki samodzielnego żerowania.

— A bożą przyrodą już władła wiosna. Więc jodły i świerki stroiły się w młodziutkie pędy zielono-żółte, aksamitno miękkie, buki okrywał młody, delikatnym puchem powleczony liść, jawory ronić poczynały okwiat, aż wreszcie ostrożny dąb uwierzył snać w wiosnę i jął nadymać pączki — a nocami przeciągał nad tem nowem życiem ciepły wietrzyk południowy i niósł z sobą rozmarzającą, opojną tęsknotę.

Pierwsza wyszła z nory matka, nie zaniedbując wszelkich ostrożności, nic bowiem nie jest tak zdradliwem, jak głęboka cisza. Wytknęła tedy z nory czarny śpiczasty nosek na tyle tylko, by załapać wiatru i schowała się natychmiast w głąb. Po upływie minuty powtórzyła próbę — za trzecim dopiero razem, odważnie wyszła z nory, za nią zaś podążało czworo młodych, bezustannie na siebie mrucząc. Niebawem leśne mroki objęły całą gromadkę, jeno korony drzew szeptały nad nią swą nocną modlitwę puszczy, gdzieś z oddali dochodził gwizd przechodzącego pociągu i górski potok z poszumem toczył po skalistem dnie wezbrany nurt wiosenny.

Pod grubą warstwą zeszłorocznego liścia wyczuł wkrótce delikatny nos pani matki jakiś smakołyk. Był to marczak — zając, do połowy objedzony przez lisa i schowany przezornie na poprawiny. I gdy kości zają-

ca trzeszczeć poczęły w zębach starej, zbiegły się małe z podniesionemi ciekawie pyszczkami, najśmielszy zaś urwał kawałeczek mięsa z zająca i spróbował smaku. Urwał poraz drugi, poczem odbiegł na bok i zjadł, nie dzieląc się z nikim. Ośmielone przykładem brata, całe rodzeństwo zgłosiło się o swój przydział i pół zająca znikło w paru minutach.

Takie to wyprawy łowieckie odbywały się co noc, zawsze z największą ostrożnością i borsuczęta rosły i mężniały w oczach, najstarszemu nawet uroiło się, że mógłby sam sobie dać radę, bez opieki kapryśnej matki. Co prawda, znał las dobrze jak matka, pożywienie umiał już sam wyszukać, to też nic dziwnego, że jej wieczne uwagi i przestrogi tak mu się sprzykszyły, iż pewnej nocy odbiegł troszkę od gromadki, wołania matki niby nie dosłyszał i przepadł.

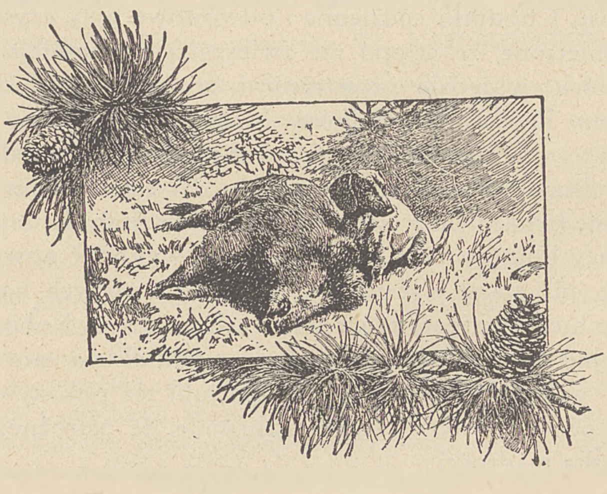
Mają rację ludzie, twierdząc, że każdy początek jest trudny. Nasz borsuczek za wiele ponoś liczył na własne siły. Dotąd szła przed nim matka, osoba doświadczona, świadoma nie jednego niebezpieczeństwa, umiejąca przezornie obejść nie jedno zło. Zabrakło przewodniczki, przyszło poznanie, że życie leśne nie jest tak proste, jak się zdawało. Pierwsza trudność, to mieszkanie. Mniejsza z tem, że mu się nie chciało i że nie bardzo wiedział, jak się norę szykuje; najważniejszem było — odpowiednio dobrane miejsce.

Najpierw próbował nad Suchym potokiem, posłuszny głosowi krwi, który mu mówił, że borsuk na powierzchni ziemi nie sypia. Miejsce było zaciszne, we wgłębieniu starego buka. Nie ucząc się nigdy borsuczego budownictwa, wykopał w niedługim czasie norę niemal metrowej długości, gdy natrafił na przeszkodę w postaci grubego korzenia. Spróbował ominąć go z jednej strony... skała, z drugiej... skała. Zniechęcony wyszedł i przespał się pod urwiskiem, wiszącem nad korytem, rzeczywiście suchego potoku. Wieczorem pożywił się pierwszą napotkaną jaszczurką i ruszył na poszukiwanie innego miejsca na norę. Szedł tak przez góry, doliny i potoki, aż znalazł się w gąszczu młodych wyrostków, miękko wysłanym zeszłorocznym liściem, wśród którego, jak pomnik poległych — sterczał samotny, na pół zgniły pień olbrzymiego drzewa. Tak! Stał tu kiedyś wysoki, piękny las. Aż przyszedł człowiek z pobliskiej fabryki, obejrzał go, usiadł pod drzewem i zaczął się najspokojniej pożywiać. Szumiały mu nad głową korony, owiewała balsamiczna woń lasu, a mocarne buki, obute w szmaragdowo-zielone pluszowe papucie mchowe, stały wokoło, ciekawie patrząc na rzadkiego tu gościa — człowieka. Na myśl im nie przyszły złowrogie jego zamiary. Bo nie przyszedł tu z czystem sercem, by odetchnąć po pracy biurowej, nie przyszedł odświeżyć płuc leśnem powietrzem. Przyszedł obejrzeć drzewostan, obliczyć kubiki masy drzewnej i odszedł z głową, pełną korzystnych kalkulacyj handlowych. Las go przyjął miłym poszumem liści i śpiewem ptactwa, on odwdzięczył się za to nasłaniem drwali. Pewnego dnia listopadowego, zbiegło się ich coś około stu, a każdy z błyszczącą siekierą na ramieniu, a co drugi, lub trzeci ze lśniącą, jak brzytwa, ostrą, ząbkowaną piłą. Rozpoczęła się tragedja lasu. Rozstawili się przez całą szerokość nad potokiem i nim ostatni z nich rozejrzał się w swej sekcji, już z brzegu jęknął sędziwy buk pod razami siekiery, poczem ostrze piły jęło się zagłębiać w jego ciele. Długo opierał się olbrzym, ściskał bolesnym skurczem piłę, żelaznym klinom zdał się urągać, aż siły poczęły go opuszczać, z wnętrza dobywają się trzaski rwanych żył, targanych ścięgien, piła swobodnie już i pośpiesznie pracuje, korona sennie się pochyla, ciałem wstrząsa dreszcz konania i olbrzym, co wieki drwił z burz i wichrów, pada martwy z trzaskiem i łoskotem. A kaci jego z zadowoleniem patrzą na swą pracę, siadają na ciepłym jeszcze trupie i ćmiąc śmierdzące fajki, odpoczywają po spełnionej zbrodni. Teraz kolej na jego brata, drugiego, trzeciego — setnego.

Z dalekich szczytów widać ohydną łysinę, niekształtną, z każdym dniem większą, poczem na łysinie ukazują się białe plamy ustawionych metrów opałowych, te się mnożą, wydłużają w szeregi i do wiosny poręb jest gotowy. Ani śladu dawnego lasu, pełnego cieniu, spokoju i dostojnej powagi — jego miejsce zastąpiło cmentarzysko, zawalone odpadkami koron, wiórami pni i połamanym podrostem.

Niema jednak rany, którejby nie uleczył czas. Drzewo wywieziono, gałęzie zetlały, a wypoczęta ziemia co rychlej gnała wzwyż ocalały z pogromu podrost. Pod wpływem błogosławionych promieni słońca dziać się poczęły istne cudy wegetacji. Już w drugim roku okryły się odrostki młodym, gęstym liściem, wypełniły się halizny, obsadzone dębem, jesionem, jaworem i jodłą, gdzie mogła, wcisnęła się wiatrem naniesiona brzoza i osina i po dziesięciu latach, stał zwarty gąszcz młodego, bujnego lasu. I tylko parę zbutwiałych pni, które jako chore, uszły siekiery drwali, sterczało i gniło po dziś dzień. Nasz młody borsuk obszedł uważnie pieniek, obwietrzył go wkoło, sprawdził miękkość spróchniałych korzeni i doszedł do wniosku, że znalazł to, czego szukał. Postanowił w tem odludziu zamieszkać i ochoczo wziął się do budowy.

(C. d. n.)



W. G. S.

Dodatkowe uwagi

Nawiązując do artykułu p. Władysława Gürtlera w 13 numerze „Łowca“, „Dlaczego starsi myśliwi chybiają“, chcę dodać jeszcze jeden znamienny objaw, zauważony na sobie samym. — Za młodych lat, polując wiele w jesieni na słonki i jarząbki, składałem się odruchowo do każdego nadlatującego ptaka, a stwierdziwszy, że nie jest zwierzyną łowną, odkładałem broń. Ruch ten nic mnie nie kosztował.

Ileż to razy myśliwy późnym wieczorem na ciągu kaczek składał się do przelatującego przed nosem komara.

Z biegiem lat, ze zmniejszoną ruchliwością i zanikiem gimnastyki, ruchy stają się leniwsze, kosztują pewne natężenie, a temsamem, — ja przynajmniej, — obecnie łapię się na tem, że staram się wpierw stwierdzić, czy okaz do strzału się nadaje, a dopiero się do niego składam. Temsamem złożenie się do strzału opóźnia się o parę sekund, a skraca czas dokładnego wzięcia na cel zwierzyny. To mojem zdaniem również ujemnie wpływa na celność strzałów i powoduje zwiększenie się tak zwanych pudeł u starszych panów.

Drugą notatkę łączę z artykułem p. Dra Błeczyńskiego, „Czy zwierzęta myślą?“.

Pisałem już o tem raz w ramach naszego „Łowca“, a dziś przytoczony moment wypadł mi był wtedy z pamięci.

Przed wojną miałem wcale niezłą hodowlę legawych psów i sam je sobie układałem.

Jednym z bardziej udanych był „As“, który mi, mimo roztoczonej gorliwej pieczy, u nóg moich zginął na zapalenie płuc.

Otóż, moja żona — również myśliwa i obeznana z obchodzeniem się z moimi legawcami, w mej nieobecności, pilnując na wsi wysadzania alei wzdłuż drogi dworskiej do stacji kolejowej, ma Asa ze sobą. Z powodu upału zdejmuje słomiany kapelusz z głowy i wiesza tenże na luszni fury, która podwoziła szczepy do sadzenia. As to widzi, siada przed moją żoną, przygląda się zdziwiony pewien czas, wskakuje na wóz i zdjąwszy kapelusz, przynosi jej do rąk, gdyż widocznie jest zdania, że taki objekt należy umieścić na głowie, a nie na luszni wozu. Nagrodzony za swą delikatność odbiega uradowany, a moja żona ponownie pozbywa się swego kapelusza. Ledwie As stwierdził brak nakrycia głowy u swej pani, znów wskakuje i przynosi ową sławną starą panamę. — Ostateczny rezultat był ten, że ofiara tych zabiegów wiernego psa, dalszy dozór wykonywać musiała z kapeluszem na głowie, gdyż wierny As nie dał sobie wytłumaczyć, że można głowochronu czasem inaczej zażywać, aniżeli nakrycie mózgownicy.

Tak się stać można ofiarą własnej tresury.

Notatki bibljograficzne

Maykowski Stanisław. Śpiew o wydrze. Lwów, wydawnictwo Zakładu Narod. im. Ossol., 1931, in 4-o, str. 46, z 6 całokartkowemi, barwnemi ilustracjami Stanisława Matusiaka.

Rzecz ta ukazała się na półkach księgarskich jeszcze zimą. Pisana wierszem, miejscami może wyszukanym, ale jędrnym, zastosowanym do epoki, bo mowa tu o sławnej wydrze Pana Paska, zwanej „*Robakiem*“. Nasamprzód maluje nam autor dwór Paska, jego „zwierzyniec“, opisuje zabawy z ulubioną wyderką, waśni ze starą klucznicą, która złem okiem patrzy na te fawory i na marnowanie darów Bożych dla karmienia zwierząt; potem przybywa poseł królewski z listem pańskim i prośbą o odstąpienie „*Robaka*“; przeżywamy z panem Janem Chryzostomem walkę wewnętrzną; oburzamy się na zdradę klucznicy, współczujemy i z wydrą i z jej właścicielem w chwili ostatniego pożegnania; towarzyszymy jej do Wilanowa. Podziwia ją Jan III i dwór jego. Ale godziny „*Robaka*“ są policzone. Ginie z ręki dragona, pełniącego straż na ogrodach dworskich. Epilog: znowu dworek pana Paska w Olszówce:

„Już lipa w żółtej stanęła opończy,
Ono nad domem panujące drzewo
I siewa liściem, a zda się, nie skończy.
Tedy pan Pasek pod tą siadł ulewą.

Zasiadł kamienną, mchem brodatą ławę
I patrzy w oną błękitność pogody,
Co liście miota smukłe a żółtawe,
Jakby w powietrzu wyprawując gody.

Słucha, co mówią liście te z szelestem,
A patrzy przed się ócz pustkami dwiema
I myśli sobie: że to już sam jestem,
Że zaś Robaka mego ze mną niema.

Bo wie o wszystkiem, wszystko wie i pomni,
Jako tej wydrze przyszło do zagubin...
List mu się biały w pamięci ogromni
I na nim w słońcu on pieczętny rubin.

Wie o Robaku i o króla gniewie
I że tych zabójstw ukarano sprawcę,
Tylko, co teraz robić ma, to nie wie,
Na swej kamiennej spoczywając ławce...“

Następuje skrucha klucznicy, jej nawrócenie i odtąd już miłość do pozostałych w zwierzyńcu czworonogich i skrzydlatych mieszkańców. Wreszcie, — wszystko okrywa całun spadających liści...

„Zwierzęta one skrył i onych ludzi
I biel drzewianą onych ich dworzyszczy.
To wszystko przeszło... Został zaś i łudzi
On liść pożółkły, co w mym wierszu błyszczy.

On mnie tę powieść uczył snować prostą,
O dawnych rzeczach odeń mam nauki.
Bowiem te liście, które teraz rostą,
Są dawnych onych pra-pra-pra-prawnuki...“

„Śpiew o wydrze" — to sympatyczne wydawnictwo, jak każda udana gawęda o dawnych czasach. Trochę poucza, troch bawi, trochę krzepi. Nadaje się zwłaszcza na lekturę dla młodzieży, na upominek, jako wspomnienie o starych zwyczajach szlacheckich, niemniej jak o ostatnim naszym królu - łowcy.

W. Z.



†

Inż. Wincenty Wobr

em. st. radca leśnictwa, członek Zarządu Oddziału i delegat M. T. Ł.

zmarł w Krakowie dnia 27 lipca 1931 r., przeżywszy lat 72.

Śmierć ś. p. inż. Wobra padła wielkim cieniem smutku i żałoby na Krakowski Oddział Małop. Towarzystwa Łow., który w Zmarłym traci wysoko cenionego członka Wydziału, wiernego od lat przyjaciela Towarzystwa i światłego doradcę w sprawach łowiectwa. — W osobie ś. p. Zmarłego ubywa leśnictwu i łowiectwu polskiemu energiczna, wybitna siła fachowa, duszą i sercem przywiązana do swego zawodu, z głębokiem umiłowaniem przyrody swoistej i krajowego łowiectwa.

Ś. p. inż. Wobr rozpoczął swą karjerę zawodową w zarządzie lasów państwowych we wschodniej Małopolsce, później na krótko przed wojną światową powołany został do Krakowa na stanowisko kierownika leśnictwa okręgu krakowskiego. W czasie wojny prowadził kursy lasowe dla inwalidów polaków. Po przeniesieniu się w stan spoczynku, objął w r. 1917 zarząd lasu Wolskiego na Woli Justowskiej pod Krakowem i stworzył z niego przepiękny publiczny Park Miejski, połączony z bażantarnią i zwierzyńcem fauny krajowej.

Wybitny, o wielkiej etyce myśliwy — zamiłowany hodowca zwierzyny, urządzał na terenie zwyż 1000 ha, zarządzanych przezeń lasów i sąsiednich dzierżawionych obwodów łowieckich doroczne zimowe gremjalne polowania przy udziale poważnych osobistości miasta. — Wyniki tych polowań świadczyły o znakomitem zagospodarowaniu terenów i świetnem prowadzeniu polowań pod mistrzowską ręką Gospodarza. Interesował się On też szczególnie ochroną ptactwa użytecznego i śpiewającego, a Jego cenne artykuły z rycinami w tym przedmiocie, pomieszczone były w „Łowcu" w r. 1929.

Punktualny w regularnem uczestniczeniu w obradach Wydziału i Ogólnych Zebraniach Oddziału, chętny w interwenjowaniu w sprawach łowiectwa u Władz i w jednaniu nowych członków Towarzystwu, pozostawia w niem ś. p. Zmarły szczery żal i najlepszą po Sobie pamięć. To też Zarząd Oddziału przechowa we wdzięcznem wspomnieniu te wymowne rysy powszechnie szanowanego ś. p. Zmarłego w wieloletnim Jego i tak sympatycznym stosunku do Towarzystwa.

Wzruszającym był widok wspaniałego w swej żałobie myśliwskiego pochodu pogrzebowego, w którym szczątki ś. p. Zmarłego, złożone na wozie gospodarczym, tonącym w zieleni złomów szpilkowych i wśród wielu wieńców, w asystencji straży łowieckiej lasu Wolskiego, odprowadzone zostały przy licznym udziale przyjaciół, znajomych, członków Oddziału i publiczności do kościoła św. Anny, a stąd po odbytem nabożeństwie żałobnem na dworzec kolejowy, celem transportacji do grobu rodzinnego w Jaśle.

Cześć pamięci serdecznego Druha. — Wieczny odpoczynek w światłości wiekuistej racz Mu dać Panie!

Z Wydziału Oddziału
Małop. Tow. Łow. w Krakowie

†

Dr. Stefan Puchalski

lekarz, długoletni członek i delegat M. T. Ł. z powiatu dobromilskiego

zmarł dnia 21 czerwca 1931 r. w Dobromilu.

Cześć Jego pamięci!

†

Wspomnienie pośmiertne

„Karpaty objęły na wieki swego wiernego wyznawcę i czciciela".

Dnia 22 lipca b. r., został w Tatarowie nad Prutem pochowany

HENRYK MIKOLASCH

Urodzony w r. 1873 we Lwowie, tam kształcił swe wielostronne zdolności — tam zabłysł na kilku polach, jako pierwszorzędny sportsmen — tam ukończył swe uniwersyteckie studja doktoratem chemji, a w krakowskiej akademji sztuk pięknych kształcił się w akwareli, pod kierownictwem ś. p. prof. Stanisławskiego.

Jednak dopiero zetknąwszy się z Karpatami — wyczuł właściwe swe powołanie wielkiego artysty-wielbiciela przyrody i odtąd sztuce się poświęcił, ofiarowując jej swój nieporównany talent w akwareli i fotografji.

W setki liczyćby trzeba dzieła Mikolascha utrwalające najpiękniejsze fragmenty Karpat i ich faunę — rozebrane przez miłośników Jego subtelnego wyczucia i oddania tematów z przyrody.

W dziale fotograficznym, w którym umiał połączyć w tak wysokim stopniu swój zmysł artystyczny z ostatnim wyrazem techniki, że na światowych wystawach zdobył najwyższe odznaczenia, w ostatnich latach, powołany przez lwowską politechnikę, pracował, kształcąc młodzież przedewszystkiem z wydziału architektury, w sztuce fotografji artystycznej, dokumentowej i fotogrametrji. Z działu przyrody Mikolasch pozostawia po sobie między innemi unikatowe album zdjęć z natury naszej fauny, przeważnie ptasiej — owoc wieloletniej pracy.

Nie mogę zakończyć tego upamiętnienia znikającej z pomiędzy nas wybitnej postaci artysty-przyrodnika, jak stwierdzeniem, że Karpaty nie prędko znajdą godnego Jego następcę, a przyjaciele — nigdy!

Dr. W. B.



MISTRZ ROTMISTRZ

Dalipan nie łżę

(Ciąg dalszy)

Niebywała ekspansja kuli

Utarty komunał powiada, że przysłowia są mądrością narodów. Tania to mądrość a świadczy tylko o chytrości człowieka. Ta chytra i przebiegła istota wymyśliła sobie na każdy wypadek przysłowie, tak że jak niebądźby się rzecz obróciła, na wszystko znajdzie trafną odpowiedź. Jeżeli córeczka wdała się w mamusię, i dziedziczy po niej cnoty, czy niecnoty, — rodem kurki czubate — wykrzykuje człowiek. Jeżeli zaś dzieci pójdą różnemi drogami, — z jednego drzewa, krzyż i łopata — powiada.

Jest także przysłowie, — jaka woda, taki młyn, jaki ojciec, taki syn. — Chcę następującym obrazkiem myśliwskim wykazać nietrafność tego przysłowia.

Pamiętacie Szanowni Czytelnicy z obrazka pod tytułem „Hrabia Fuerender contra Przedpotopowicz", lapidarną, jakby z monolitu wykutą postać tego o statniego. Postać ta archaiczna, której podstawowym rysem, była wielka prostota i prawda wcielona, nigdy w obsłonkach kłamstwa lub obłudy nie chodząca, powinna by w potomstwie swem, zostawić ludzi prawdą żyjących, może mniej zacofanych w przekonaniach, mniej starożytnych w obyczajach, w każdym jednak razie, w głównych zarysach do niej podobnych, bo: „jaka woda, taki młyn, jaki ojciec, taki syn".

Tymczasem młody Przedpotopowicz był swego ojca antytezą. Stary o wszystkiem myślał i wszystko widział po prostu, a co myślał i widział, to powiedział bez osłony i ogródki. Jak czasem rąbnął po swojemu w mieszanem towarzystwie, co czulsze panie mdlały, lub z rozpaczliwą determinacją uszka córeczkom zatykały, niepotrzebnie ciekawe.

Młody nabył w świecie towarzyską ogładę, nie mówił wciąż psiakrew, ani panie dobrodzieju, odznaczał się jednak natomiast niepohamowaną fantazją, a imaginację miał niezmiernie żywą. Co było tworem bujnej jego wyobraźni, co mu się przyśniło, lub wydało, to z całem przekonaniem za prawdę podawał.

Nie jest to broń Boże przywara, ani też nieznośna wada, bo i cóż to szkodzi komu, że ktoś widzi poczwórnie, lub rad klimkiem rzuci.

By jednak od tej dysgresji na temat nieprawdziwości przysłowia powrócić do tematu mego obrazka myśliwskiego, przepraszam Was, Szanowni Czytelnicy, jeżeli Was znudziłem, solennie obiecuję poprawę i zaczynam.

Kiedy to było i gdzie to było, rzecz obojętna. Dość, że było. Knieja znaną była z tego, że ułatwiała myśliwym ciche stanie na stanowisku. Ponieważ zwykle nie było do czego się składać, ergo nie trzeba się było ruszać.

Rzadki zając, jeszcze rzadszy rogacz lub lis i hipotetyczne dziki. Bądź co bądź, czasem jednak coś tam na

rozkładzie się znalazło. Ja sam pewnego razu, uśpiony dostojną ciszą skąpej w trofea kniei, przespałem dzika. Przyszedł, stał i odszedł, przezemnie nie nagabywany.

W tej to spokojnej kniei, której uroczyste milczenie z rzadka tylko przerywa brutalny huk broni, idzie na młodego Przedpotopowicza - fantastę, rogacz wolnym galopem.

Przedpotopowicz składa się, mierzy i jednym strzałem śrutowym, ruluje go w ogniu. Rogacza śrutem zabić, rzecz zwyczajna i nie ma co o tem mówić. Dziś mówią, że nawet nieładnie. Przedpotopowicz zaś lubi nadzwyczajności. Gdzie ich niema, potrafi je stworzyć. — Ostrożnie oglądając się na boki, przesuwa szperę w trzylufku na ekspres, bęc do nieboszczyka kulą... i chybił.

Po miocie opowiada z zapałem, jak rogacz w szalonych susach go lonżował, jak zrazu gąszcze w strzale mu przeszkadzały, jak go celnym strzałem kulowym — do rogaczy strzela Przedpotopowicz z zasady tylko kulą — trupem położył.

Podpatrzył jednak podejście, ktoś chytry.

— Jaką strzelałeś kulą, — pyta — pełną, czy ekspansywną?

— Ekspansywną, — odpowiada niespodziewający się podstępu Przedpotopowicz.

— To dziwne, — rzecze zdrajca — patrzcie panowie, jak ta kula ciekawie już na skórze eksplodowała. — Każdy przysiągłby, że to śrutem strzelone, ale skoro pan Przedpotopowicz powiada, że strzelił z ekspresa, nie śmiem mu zaprzeczyć.



Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 31-go lipca 1931 r.

Przewodniczy zrazu Wiceprezes A. Mniszek, następnie Prezes Juljusz hr. Bielski. Obecni: wiceprezes A. Sander, członkowie Wydziału: inż. A. Ebenberger, T. Jędrzejowicz, Dr. Franciszek Piechowski, zastępca St. Madeyski i zaproszony przez Prezesa Tow. p. Herman Knothe z Warszawy.

Nieobecność usprawiedliwili: M. Chrzanowski, Cyryl Czarkowski-Golejewski, Wł. Garapich, St. Jaśkiewicz, St. Pieńczykowski, Dr. J. Rosieńkiewicz i A. Ulm.

Wiceprezes A. Mniszek przy otwarciu posiedzenia poświęcił pośmiertne wspomnienie ś. p. Aleksandrowi Paparze, zastępcy członka Wydziału.

Termin Zjazdu M. T. Ł. ustalono na dzień 12 września 1931, z tem, że Zjazd będzie połączony ze strzelanie premjowem tylko w takim razie, jeżeli do dnia 10 sierpnia b. r. przynajmniej 20-stu strzelców oświadczy chęć strzelania.

Inż. A. Ebenberger oznajmił, że t. zw. „obóz ćwiczebny" w strzelaniach myśliwskich polegać będzie na tem, że od 17 sierpnia b. r., będzie zapewniona obsługa na strzelnicach do jelenia i do rzutków i strzelcy chcący trenować w tych strzelaniach przed zawodami Międzynarodowemi, będą mogli ćwiczyć.

P. Herman Knothe, który jako delegat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, organizuje z ramienia Ministerstwa rolnictwa, łowiectwo w lasach państwowych, udzielił uprzejmie nader cennych i ciekawych wiadomości o tej swej akcji, jak również w wielu sprawach ogólno-łowieckich w Państwie.

Wiadomości tych, które świadczą o tem, że najwyższe czynniki rządowe sprawę łowiectwa w Polsce traktują bardzo poważnie, wysłuchali obecni z wielkiem zainteresowaniem i z żywem zadowoleniem, wyrażając Panu Knothemu serdeczne podziękowanie za jego cenne informacje.

Komunikaty

O preparowaniu trofeów

W przeszłym roku był pomieszczony w „Łowcu" artykuł na ten temat, jednego z zawodowych preparatorów; w szczególności o preparowaniu parostków sarnich. Ze sposobem postępowania, tam opisanym, pomimo, że nie jestem zawodowym preparatorem, lecz starym myśliwym i praktykiem, nie zupełnie się mogę go-

dzić. Poleconem tam jest obgotowywanie czaszki wraz z parostkami, co mojem zdaniem jest zupełnie wadliwem postępowaniem, a to z następujących powodów: Jak wiadomo, kości czaszki są silnie porowate, i pory te są wypełnione krwią, która przez gotowanie ścina się i czernieje, wskutek czego nie można nigdy osiągnąć czystego, białego koloru czaszki, bo przez kość prześwieca czarny kolor zsiadłej krwi. Tłuszcz znajdujący się pod skórą, w gotowaniu topi się i przesiąka czaszkę, czyniąc ją przeźroczystą i nadaje żółty kolor kości, zwiększa przeźroczystość kości co jeszcze więcej uwidocznia plamy krwi będącej wewnątrz. Jest to poważny argument przeciw gotowaniu czaszki, lecz jest jeszcze drugi, o wiele ważniejszy, a tym jest zmniejszenie przez gotowanie siły i odporności czaszki. Jak wiadomo, czaszka złożoną jest z kilku części, trzymających się razem za pomocą tak zwanych „szwów", które prócz zazębienia, spojone są silnie klejem, tam się znajdującym. Otóż przez gotowanie, klej ten się rozpuszcza a czaszka traci zupełnie swoją spoistość, tak, że może zupełnie rozpaść się na części. Jasnem więc jest, że obgotowywanie czaszki jest postępowaniem wadliwem.

Zupełnie odmienny sposób preparowania,nie posiadający powyżej podanych wad podaję poniżej.

Zaraz po odcięciu czaszki, oczyszczam ją nożem ze skóry, tłuszczu i błon do niej przywartych możliwie starannie, następnie w garnku polewanym 3 do 4 litrowym zalewam ustawione w tym garnku parostki czaszką na dół, wodą, i stawiam garnek w miejscu wolnem od mrozu, co dwa dni wodę zmieniam, gdyż stanie się zupełnie czerwoną od krwi,wyługowanej z czaszki. Gdy po kilku dniach woda przestanie się już barwić na czerwono, używam zamiast zwykłej wody wody wapiennej, to jest takiej, w której został rozpuszczony kawałek, wielkości kurzego jaja, wapna palonego, świeżego. Woda ta jeszcze nieco krwi z czaszki wyługuje, i zapełni otwory w kości. W wodzie tej moczę czaszkę około dwa tygodnie w miejscu słonecznem, wyjmując codziennie na 2 do 3 godzin czaszkę i wystawiając je na działanie słońca. Skoro uschnie, macza ją się znowu w wodzie wapiennej, co powoduje zupełne wybielenie kości. Jest to sposób powszechnie używany w przemyśle, przy preparowaniu kości wołowych, celem wybielenia ich na materjał używany do wyrobu klawiszy fortepianowych, grzebieni, guzików i tp. wyrobów. W ten sposób kość stanie się zupełnie białą, — błony okostne dadzą się zeskrobać, a kość można wypolerować pumeksowym proszkiem z wodą i kredą. W ten sposób preparowane parostki mają czaszkę mocną, olśniewająco białą.

A. S. Ch.



Twarda i miękka zwierzyna

Że nie każda kura leży, nie każdy zając ruluje — na to składają się różnorodne przyczyny: zła broń, nieodpowiednie naboje, baba z próżnemi wiadrami, złożone — z resztą może najszczerzej życzenia pomyślnych łowów, wreszcie wyjątkowo w danym dniu „twarda" zwierzyna.

Wszystko to przesądy, niegodne myśliwego i tylko pojęcie zwierzyny „miękkiej i twardej" ma pewne rozumowe podstawy i zasługuje na krytyczne rozpatrzenie.

Największy opór działaniu śrutu stawia sierść i upierzenie w zależności od różnych czynników.

Tak np. tużyca zajęcza, czy królicza nie jest stale jednakowo gęsta. Na wiosnę, w lecie i z początku jesieni, jest znacznie krótsza i rzadsza, niż w końcu jesieni i w zimie, przyroda bowiem — ta najlepsza matka — dba o to, by jej dzieciom nie było ani za gorąco, ani za zimno. Ze zmianą kożuszka, zmienia się też i działanie śrutu i początkujący nawet myśliwy wie, że strzał do zająca z początkiem sezonu znacznie się różni od strzału przy jego końcu.

Jaką energję posiadać musi śrut, by pokonać opór gęstej sierści zimowej, widzimy dobrze, wyjąwszy śrucinę z zajęczych wnętrzności; przebiwszy skórę i mięśnie wlecze z sobą cały zwitek sierści, czem oczywiście znacznie osłabia swą siłę penetracji. O ile łatwiej przebija twardą deskę — niż miękką pierzynę!

Również nie bez słuszności są narzekania myśliwych, że w deszcz robi się zając „twardym". Tużyca przemoczona hamuje penetrację śrucin do tego stopnia, że istotnie procent strzałów skutecznych znacznie maleje, a stąd uzasadniony przesąd, że mokry myśliwy nie bywa szczęśliwym.

To samo powiedzieć można w odniesieniu do zwierzyny lotnej; mówi się często o twardem życiu niektórych ptaków — zupełnie niesłusznie. Twardość życia bowiem jest wszędzie jednaka, jedynie pancerz ochronny, jakim są pióra, nie ma tej samej twardości a temsamem stawia różny opór śrutom. I tak np. przeciw pociskowi zdołu jest ptak stosunkowo dobrze chroniony, bowiem prócz gęstych piór, ma śrut do przebicia zwarte mięśnie piersiowe. Korzystną również jest dla ptaka pozycja siedząca na ziemi, lub na drzewie, zwrócona bokiem do strzelca; niezwykle silne i elastyczne lotki stanowią znakomity pancerz ochronny — zwłaszcza, jeśli strzał nie padł z nieznacznej odległości. Postać rzeczy zmienia się, gdy ptak jest w locie, a pancerz rozpięty. Często ptak spada z przestrzelonem skrzydłem, oczywiście zaliczamy go do zwierzyny „miękkiej". Ale skoro wyciekł — mając biegi zdrowe — i nie dostaliśmy go, przenosimy go momentalnie do klasy ptaków „twardych".

Zwierzyna w stanie spoczynku jest odporniejszą na strzał, niż w ruchu, co najlepiej daje się stwierdzić na zającu. Wprawdzie nie jest to po myśliwsku, strzelać do kota „bezbronnego", jednakowoż niekiedy bywa ku te-

mu okazja. Otóż strzał do zająca siedzącego — nie ma nigdy tak szybkiego, a przytem tak efektownego skutku, jak do zająca w biegu. Różnica polega na tem, że w ruchu są wszystkie mięśnie i skóra rozciągnięte, sierść rozpostarta na większej powierzchni, a więc rzadsza, co ułatwia znacznie penetrację śrutów.

„Twardym“ bywa także dziki gołąb, siedzący w gałęziach, bokiem do strzelca. Z tego samego powodu zaleca się strzelanie do głuszca i cietrzewia grubszym śrutem, lub na odległość normalną, zapewniającą dobrą penetrację po przez twarde lotki.

Pierze stanowi mniej lub więcej pewny opór dla śrucin, w zależności od swej struktury. Słonka, kuropatwa i przepiórka, mają pierze rzadkie, tworzące cienką warstwę. Zaliczamy je też do zwierzyny „miękkiej“ na którą wystarczy Nr. 12 lub 10 śrutu. Wyższy Nr. nie jest wskazany, więcej bowiem zależy tu na kryciu, niż na penetracji. Do uśmiercenia powyższych ptaków wystarczy zupełnie drobny śrut, skoro tylko zdołał przebić warstwę pierza. Natomiast śrut gruby gorzej kryje, skutkiem czego kuropatwa ranna pojedyńczą śruciną, odlatuje daleko i dla myśliwego bywa często stracona. Ugodzona zaś kilkoma śrutami, jest zniekształcona i poszarpana.

Poniekąd twardszym od słonki i kuropatwy jest bażant, dzięki większym rozmiarom ciała. Natomiast upierzenie niezbyt gęste nie stawia śrutom wielkiego oporu, i śrut kuropatwi zupełnie wystarcza w strzale do bażanta.

Zupełnie inny typ pod tym względem stanowi ptactwo wodne. Przeważną część życia spędza na wodzie, która nie tylko, że zawsze chłodniejszą jest od powietrza, ale do rozgrzania się potrzebuje dużych ilości cieplika, odbieranego najbliższemu otoczeniu. Przed utratą tego to cieplika broni ptaka wodnego gęste upierzenie i gruba warstwa podskórnego tłuszczu, złych przewodników ciepła.

Te dwie warstwy izolacyjne tworzą znakomity pancerz przed pociskiem. Twarde pióra skrzydeł są przytem tłuste, a więc i elastyczne, zatem trudniejsze do przebicia śrutem.

Dzika kaczka i gęś, prześladowaną jest stale, jako ptak przelotny — niehodowany, dzięki czemu jest ostrożna, na strzał bliski nie dopuszcza. Często strzelana bywa na wodzie, w warunkach dla strzału najniekorzystniejszych. Kaczka, strzelona na etyczną odległość, w lot i do tyłu, a więc pod pióro, spada od śrutu ledwie nieco grubszego niż kuropatwi, który znów wystarcza zupełnie przy strzałach do młodych kaczek. — Zatem „twardość“ kaczki jest raczej przesądem i odnosi się jedynie do strzałów na wodzie, lub dalekich i sztychowych.

Gęś o tyle jest „twardą“, iż jest większa, lepiej opancerzona i płochliwsza. Można ją jednak „zmiękczyć“ strzelając na niewielką odległość i do tyłu.

Wędrowne Kuropatwy

W Nrze 1 bieżącego rocznika czeskiej „Straży Myslivosti“, znajdujemy następującą ciekawą notatkę:

Podczas obchodów powierzonych mi rewirów, zauważyłem w październiku trzykrotnie stada wędrownych kuropatw, liczące po 30 do 100 sztuk, przenoszące się z Polski, z północnej strony Karpat, na południe w równinę Cisy, a może i dalej.

Z wiosną ciągną te kuropatwy z powrotem szlakami wodnego ptactwa, drogami najłatwiejszemi, t. j. dolinami rzek (Latorica, Uż i in.) płynących wprost z północy na południe. Temi to dolinami ciągną co wiosny masy ptactwa wodnego przeróżnych gatunków, do Polski i dalej, do Rosji.

Kuropatwy wędrowne obserwowałem w dolinie Latoricy już w r. 1920, w dolinie Użu zaś przez ostatnie trzy lata z rzędu. Są bardzo dobrze rozwinięte, choć nieco mniejsze i ciemniejsze, niż morawskie. Są przytem lotniejsze i ostrożniejsze. Niekiedy — podczas wiosennego przelotu — zalegają stoki górskie, jak gdyby próbowały osiedlić się tu na stałe — nadmiar jednak drapieżników pędzi je dalej na północ.

W zimie posuwają się mniej lub więcej daleko na południe, zależnie od warunków atmosferycznych danego roku.

Te kilkuletnie moje obserwacje znalazły potwierdzenie wielu leśników i myśliwych, osiadłych tu od szeregu lat.



Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16